N^{ER} 27.

WE WTOREK
Dnia 8 Października 1833 roku.

# ROZMAITOŚCI.

PISMO DODATKOWE DO GAZETY WARSZAWSKIÉJ.

## LAURA, CZYLI CZERWONA PIECZĘĆ.

*Historya pułkowa.*

(Tłómaczenie z dziennika Paryzkiego: *Petit Courrier des Dames.*)

### 1.

SPOTKANIE SIĘ MOJE NA WIELKIM GOŚCIŃCU.

Wielki gościniec z Artezyi do Flandryi jest długi i smętny. Ciągnie się w kierunku prostym; nie otoczony rowami, nie ocieniony drzewy, po płaszczyznach i równinach glinkowatych i w każdéj porze roku błotnistych. W miesiącu Marcu 1815, jadąc tym gościńcem, miałem spotkanie, którego nigdy nie zapomnę. — Byłem sam, jechałem konno, miałem na sobie płaszcz dobry, kaszkiet czarny, w olstrach parę pistoletów, a u boku wielkie szablisko; przez cztery doby mojego marszu dniem i nocą lał deszcz jak z konwi i przypominam sobie, żem z całego gardła śpiewał jakąś piosenkę. Ach byłem wówczas tak młody! Dom Królewski w roku 1814 pełen był dzieci i starców; zdawało się, że za Cesarstwa wszyscy mężczyzni wyrekrutowani polegli w bojach. Towarzysze moi wyprzedzili mię znacznie na tym gościńcu w orszaku Króla *Ludwika* XVIII.; widziałem białe ich płaszcze i czerwone kurtki tuż przy widnokręgu północnym; na widnokręgu przeciwległym połyskiwał kiedy niekiedy płomień trójkolorowych chorągiewek u pik lancyerów *Bonapartego*, idących krok w krok za nami i zasłaniających nasz odwrót. Koń mój zgubił podkowę i spóźniał się; był to młody i silny rumak, spinałem go ostrogami, aby dopędzić mojego szwadronu; puścił się czwałem; założyłem rękę za pas dosyć dobrze naszpikowany złotem, słyszałem szczęk pochwy żelaznéj mego szabliska, tłuczącego się o strzemię, byłem bardzo dumny i zupełnie szczęśliwy. Deszcz lał ciągle, a ja śpiewałem, lecz zamilkłem wkrótce znudzony, że oprócz siebie nikogo nie słyszę. Słyszałem tylko plusk deszczu i stąpanie mojego konia, brnącego w błocie. Nareszcie zabrakło na drodze gruntu i zagrzązłem; trzeba było zsiąść z konia; na ogromnych palonych bótach moich było na piędź gliny, a w nich pełno wody; spojrzałem na moje złote, zupełnie nowe epolety, stanowiące całe moje szczęście i całą pociechę, sponiewierane były od słoty; zasmuciłem się. Koń mój zwiesił głowę i ja także i po raz pierwszy zapytałem się sam siebie, dokąd jadę. Sam nie wiedziałem, lecz myśl ta nie długo mię zatrudniała; byłem pewny, że tam na przeciw mnie, gdzie jest mój szwadron, jest także moja powinność; czując w sercu spokojność głęboką i niezachwianą, podziękowałem za to temu niewymownemu uczuciu i chciałem je sobie wytłómaczyć. Widząc z blizka, jak ochoczo młodzieńce i osiwiałe w służbie starce znoszą trudy nadzwyczajne, jak tylu ludzi życia szczęśliwego i światowego w zawodzie rycerskim puszcza na los przyszłość swoje zapewnioną, i dzieląc sam to dziwne zadowolenie, pochodzące dla każdego człowieka z przekonania, że nie powinien wyłamywać się z pod praw honoru, pojąłem, że *poświęcenie* się jest rzeczą daleko powszechniejszą, jak się komu zdaje. Zapytałem siebie, czyli uczucie poświęcenia się jest nam wrodzone; cobyto było owa potrzeba posłuszeństwa i poddania woli swojéj pod obce ręce, jakby rzeczy nam samym ciążącéj; zkądby pochodziła owa w duszy błogość, kiedy tym sposobem pozbędziemy się tego ciężaru, i dla czego duma ludzka nigdy się na to nie oburzyła. Wi-

działem dobrze, jak tajemniczy ten instynkt zewsząd ścisłym węzłem łączy rodziny i narody, lecz nigdzie tak zupełnego i tak bohaterskiego, jak w wojsku, nie widziałem zrzeczenia się swych czynów, swych słów, swych chęci i prawie swoich myśli. W tych myślach szedłem mimowolnie za mym koniem, poglądając często na zegarek i widząc przed sobą ciągnącą się zawsze w kierunku prostym drogę, bez drzew bez domów, i przecinającą płaszczyznę aż do widnokręgu, jak długi pas żółty na szarém płótnie. Wpatrując się z uwagą w ten pas żółty drogi, spostrzegłem niemal o ćwierć mili ode mnie ruszający się mały punkt czarny; ucieszyłem się, był to ktoś. Nie odwracałem od niego oczu. Uważałem, że punkt ten, jak ja, idzie w kierunku do miasta *Lille*, lecz nie prosto, ale w zygzag, co mi zapowiadało utrudzony jego chód; pośpieszyłem i tyle zbliżyłem się do tego przedmiotu, że się w oczach moich naciągnął i powiększył. Doszedłszy do drogi trochę tęższéj wsiadłem na konia, a pośpieszywszy widziałem coś do małego wózka podobnego; byłem głodny, spodziewałem się, że wózek ten należy do markietanki, a uważając biednego konia mego za rodzaj statku wodnego, nagliłem nań, aby żywo robił wiosłami, abyśmy co prędzéj przybyli do téj szczęśliwéj wyspy na tém morzu, gdzie czasem po brzuch zagrzęzał. O sto kroków poznałem przecież jasno mały wózek z drzewa białego, nakryty trzema kabłąkami i czarném woskowaném płótnem; wszystko to podobne było do kolebki na dwóch kołkach; kółka aż po osi zagrzęzały w błocie; małego muła, który wózek ten ciągnął, prowadził z trudnością za uzdeczkę człowiek pieszo idący; zbliżyłem się do niego i zacząłem pilnie go uważać.

Był to człowiek niemal pięćdziesiątletni, z wąsami siwemi, wysoki i mężny z wypukłym grzbietem, jak u starych Officerów piechoty, którzy niegdyś nosili tornistrę. Jakoż miał taki uniform i z pod małego płaszcza wyglądały niebieskie krótkie i wytarte epolety szefa batalionu; miał wzrok marsowy, lecz dobry, jakich tyle można spostrzedz w wojsku; spojrzał na mnie ukosem z pod swych gęstych czarnych brwi, porwał rączo z wózka swego strzelbę i skoczywszy za wózek, stanął jak za okopem i złożył się do wystrzału; ujrzawszy białą jego kokardę, dosyć mi było pokazać mu rękaw mojéj czerwonéj kurtki; wnet położył strzelbę nazad na wózek i rzekł: »A! to co innego wziąłem cię był za jednego z tych paniczów, co nas napadają. Chcesz się trochę napić?«—»Dobrze« odpowiedziałem, zbliżając się do niego, »od 24 godzin ani kropli nie miałem w ustach.« Miał na plecach flaszkę kokosową, bardzo pięknie rzniętą, ze srebrną szyjką, którą widocznie się chełpił, podał mi ją i napiłem się trochę złego białego wina z wielkiem zadowoleniem. Oddałem mu flaszkę. »Za zdrowie Króla!» rzekł pijąc; »zrobił mnie Officerem Legii honorowéj, słuszna abym go aż do granicy odprowadził;... ja na przykład ponieważ nie mam nic, prócz moich epoletów do życia, późniéj obejmę swój batalion. Jest to moją powinnością.«

Tak rozmawiając niby sam z sobą, ruszył swym małym mułem, rzekłszy, że nie mamy czasu do stracenia, a ponieważ i ja byłem tego zdania, ruszyłem za nim o parę kroków. Ciągle patrzałem na niego nie pytając go o nic, ponieważ nie miałem nigdy owéj gadatliwéj ciekawości, która tak często jest pomiędzy nami. Szliśmy w milczeniu blisko ćwierć mili, a gdy się on zatrzymał, aby dać wypocząć swemu biednemu mułowi, nad którym mię litość brała, i ja zatrzymałem się, aby ściągnąć bóty i wylać z nich wodę, w któréj nogi moje pływały. »Bóty WPana zaczynają przyrastać mu do nóg,« rzekł do mnie.—»Od czterech nocy nie zrzucałem ich.« — »Ba! za ośm dni ani pomyślisz o tém,« odpowiedział głosem ochrypłym, »bieda bydź samemu w czasach, w jakich my żyjemy.— Wiesz WPan, co ja tam mam?« — »Nie wiem,« odrzekłem. — »Jest to kobieta.»— »A ha! odpowiedziałem bez wielkiego zadziwienia i spokojnie puściłem się w drogę, a on za mną. »Ta taradajka nie wiele mię kosztowała równie jak muł, lecz mi więcéj nie potrzeba, chociaż droga ta długa, jak cygański batóg.« Zaproponowałem mu, żeby wsiadł na mego konia, jak się zmordujé, a ponieważ tylko seryo i po prostu, stosownie do jego ubioru i zaprzęgu, mówiłem, on natychmiast, bez

korowodów, zbliżył się do mego strzemienia, uderzył mię po kolanie i rzekł: »No, jesteś łepskim chłopakiem chociaż w czerwonéj kurtce.« Po jego cierpkim głosie, którym tak nazwał cztery kompanie czerwone, pomiarkowałem, ile nienawistnych uprzedzeń wzbudziły w wojsku przepych i stopnie tych korpusów Officerów. »Z tém wszystkiém« dodał; »ja nie przyjmę ofiary WPana, bo ja na przykład nie umiem jechać na koniu, a potém że ja tém nie narabiam« — »Ależ komendancie, Officerowie wyżsi, jak WPan, są do tego obowiązani.« Ej! raz w rok na inspekcyi i to na koniu najętym. Ja zawsze byłem marynarzem, a potém piechurem; nie znam się na jeżdżeniu.» Odstąpił odemnie o 20 kroków i kiedy niekiedy poglądał na mnie ukosem, jakby czekał pytania; lecz ja ani słowa nie rzekłem, a on zaczął daléj: »WPan nie jesteś ciekawy na przykład! powinnoby to WPana zadziwić, com powiedział?«—»Bardzo mało się dziwię,« odpowiedziałem.— »A przecież, gdybym WPanu opowiedział, jakim sposobem opuściłem morze, wtenczas zobaczylibyśmy...« — »A więc« odrzekłem, »czemuż WPan nie zaczynasz, toby nas pokrzepiło, a jabym zapomniał, że mi deszcz leje po za kołnierz aż do stóp.«— Poczciwy komendant batalionu uroczyście przygotowywał się mówić z radością dziecinną. Poprawił sobie na głowie czako, powleczone ceratą, zrobił ramionami takie poruszenie, jakiego sobie wyobrazić nie potrafi ten, kto nie służył w piechocie, poruszenie, jakim żołnierz pieszy wstrząsa tornistrę, aby sobie na chwilę ulżyć ciężaru; jest to zwyczajem żołnierza, którego, zostawszy Officerem, przecie się nie pozbywa. Po takiém konwulsyjném wzruszeniu napił się jeszcze trochę wina ze swéj flaszki kokosowéj, kopnął nogą w bok swego małego muła dla zachęcenia go i zaczął:

### II.

### Historya rozkazu zapieczętowanego.

»Potrzeba najprzód wiedzieć, moje dziecię, żem się urodził w *Brest*. Zacząłem najprzód bydź dzieckiem wojska, zarabiając po pół racyi i pół żołdu od roku 9go wieku mego; ojciec mój był żołnierzem w gwardyi, lecz ponieważ lubiłem morze, podczas gdy byłem na urlopem w *Brest*, skryłem się na jednym okręcie kupieckim, który odjeżdżał do Indyów; nie postrzeżono mię aż na morzu otwartém, a Kapitan wolał zrobić mię uczniem żeglarstwa, jak wrzucić w morze. Kiedy wybuchnęła rewolucya, zrobiłem już był karyerę i zostałem Kapitanem jednego okrętu kupieckiego, dosyć porządnego, włócząc się przez lat 16 po morzu. Gdy exmarynarka Królewska, stara, dobra marynarka, na mój honor, naraz utraciła Officerów, brano Kapitanów z marynarki kupieckiéj. Miałem kilka interessów korsarskich, które późniéj będę mógł WPanu opowiedzieć, dano mi komendę jednego brygu wojennego, nazwanego *le Marot*.«

»Dnia 28go *fructidor* 1797 roku otrzymałem rozkaz odpłynąć do *Cayenne*. Miałem tam odwieźć 60 żołnierzy i jednego deportowanego (wygnańca), pozostałego ze stu dziewięćdziesiąt i trzech, których fregata *la Decade* dniem wprzódy wzięła na swój pokład. Miałem rozkaz obchodzić się z tą osobą łagodnie, a list pierwszy dyrektoryum zawierał drugi, zapieczętowany trzema czerwonemi pieczęciami, pomiędzy któremi była jedna wielkości nadzwyczajnéj. Zakazano mi otwierać ten drugi list przed 1szym stopniem szerokości północnéj na 27 do 28 długości, to jest przed równikiem. Ten wielki list miał szczególną postać. Był długi i tak dokładnie zapieczętowany, żem nie mógł nic przeczytać, ani przez rogi ani przez kopertę. Nie jestem zabobonnym, lecz list ten przeraził mię; włożyłem go w moim pokoju za szkło złego małego zegara Angielskiego, zawieszonego nad mojém łóżkiem. Łóżko to było prawdziwie marynarskie tak, jak WPan wiesz. Lecz co mówię, WPan masz ledwie może lat 16, nie mogłeś więc tego widzieć. Pokój Królowéj nie może bydź tak chędogi, jak musi bydź pokój marynarza, mówię to bez chluby; rzecz każda ma tam swoje małe miejsce i swój mały haczyk, nic się nie porusza, niech się okręt jak chce chwieje. Sprzęty zrobione są stosownie do okrętu i małéj izdebki; łóżko moje było kufrem. Otworzywszy go spałem w nim, zamknięty służył mi za sofę, na któréj pali-

łem fajkę, czasem służył mi i za stół, a wtenczas siadaliśmy na małych beczółkach, które były w pokoju; podłoga była woskowana i wytarta, jak politerowany mahoń, świecąca się jak bryłant. Prawdziwe zwierciadło! O! był to śliczny maleńki pokoik, a mój bryg miał także swoję wartość. Bawiono się tam często pysznie i podróż poczęła się i tą razą dosyć przyjemnie, gdyby nie...., lecz nie przeskakujemy.— Mieliśmy dobry wiatr północno-północno zachodni i krzątałem się właśnie około włożenia listu za szkło zegarka, kiedy mój deportowany wszedł do mojéj izby, trzymając za rękę piękną kobietkę blisko siedmnasto-letnią. On, jak mi powiedział, miał lat 19cie, piękny chłopiec, chociaż trochę za biały na mężczyznę. Był wszakże mężczyzna, i to mężczyzną, który w przypadku lepiej się znalazł, jak wielu starożytnych mężów, co wkrótce usłyszysz. Trzymał rękę swojéj żony pod ramieniem, ona była świeża i wesoła, jak dziecię. Były to dwa gołąbki. Miło mi było patrzeć na nich.— Rzekłem do nich: »No, moje dzieci! przychodźcie odwiedzić starego Kapitana, to grzecznie. Wiozę was trochę daleko, lecz tém lepiéj; będziemy mieli czas poznać się bliżéj. Przykro mi, że przyjmuję panią rozebrany, lecz to dla tego, że chcę zawiesić tam w górze ten przeklęty list. Czybyście mi trochę nie pomogli.« Były to prawdziwie dobre dzieci. Mąż wziął młotek, żona gwoździe i podawali mi je po kolei, jakem czego żądał, a ona mi mówiła: »Na prawo! na lewo! Kapitanie! wciąż się śmiejąc, ponieważ pod młotkiem ściana się trzęsła, a zegar się wahał; słyszę ją ztąd zjéj miłym głosikiem: »Na lewo! na prawo! Kapitanie! żartowała sobie zemnie. »Ah!« rzekłem, »mały figlarzu, powiem mężowi, aby cię wyłajał.« Ona objęła go za szyję i pocałowała; prawdziwie, lube to były osoby, i tak zawiązała się znajomość. Wnet zaprzyjaźniliśmy się.«

»Podróż nasza była także piękna, czas służył mi zawsze, jakby umyślnie. Ponieważ na pokładzie moim miałem zawsze nieprzyjemne tylko fizognomie, zapraszałem codzień do stołu mego, moich dwoje zakochanych; bawiło mię to. Gdyśmy zjedli suchary i ryby, luba żona i mąż jéj patrzali ciągle na siebie, jak gdyby się nigdy nie widzieli, wtenczas śmiałem się do rozpuku i żartowałem sobie z nich, i oni się wraz zemną śmieli; byłbyś się śmiał, widząc nas jak troje waryatów, nie wiedzących co robiemy. Bo prawdziwie było zabawnie widzieć, jak się kochają. Wszędzie im było dobrze, wszystko im było dobre, co im dawano; tymczasem, jak my, wszyscy byli na racyi okrętowéj. Dodawałem tylko trochę wódki Szwedzkiéj, kiedy zemną obiadowali, lecz tylko mały kieliszek, abym zachował moję powagę. Spali w macie zawieszonéj, gdzie okręt kołysał ich, jak ja teraz te dwie gruszki, które mam w téj oto chustce mokréj; byli weseli i kontenci.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

## *Atmosferyczne przepowiednie cholery.*

Następujący fenomen, który w roku 1831 w *Damaszku*, poprzedzał cholerę, zdaje się potwierdzać twierdzenie, które przypisuje tę chorobę atmosferycznym przyczynom. — »Okoliczność» — piszą ztamtąd, »która nie mało przeraziła, był nadzwyczajny fenomen. Od początku Maja do Października, nie widzieliśmy tu ani jednéj chmury, bo niebo jest zwykle zupełnie wolne od wyziewów. Tego roku zaś atmosfera od początku Lipca jest bardzo gęstą, a słońce blade. Zrana przeszło na godzinę przed wschodem słońca, niebo na wschód ie bywa jak krew czerwone, podczas gdy żółtawe, nader nieprzyjemne światło oświeca ziemię. Ze wschodem słońca, czerwoność ta blednieje; lecz potrzebuje kwadrans czasu, nim rozpędza wyziewy, za któremi, jak za gazą wygląda. Na noc to samo pokazuje się na zachodzie. Zaledwie słońce zachodzi, niebo pokrywa się aż do nieprzejrzanéj wysokości nad horyzontem, czerwonawą powłoką, która przeszło przez pół godziny, coraz bardziéj się powiększa. Potém blednieje, nie prędzéj jednak niknie, aż na pięć kwadransów po zachodzie słońca. Całe miasto jest przerażone, z powodu widowiska, które od niepamiętnych czasów nie było widziane, które jednak żywo przypomina widziane też w owym czasie w Europie światło północne.»